

Odeszli animatorzy życia kulturalnego z Toronto - Irena Harasimowicz-Zarzecka i Krzysztof Zarzecki.



Wieczór autorski poświęcony Helenie Modrzejewskiej w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, grudzień 2009 r. Od prawej: Irena Harasimowicz-Zarzecka, prof. Florian Śmieja, Jacek Gwizdka, Joanna Sokołowska-Gwizdka podpisująca swoją książkę, Margot Kukulska-Rumian.

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Irena Harasimowicz-Zarzecka i Krzysztof Zarzecki byli znani w polskim środowisku

każdemu, kto interesował się kulturą i literaturą. Bywali na spotkaniach autorskich, koncertach, można było z nimi toczyć niekończące się rozmowy. Cudowni ludzie, twórczy, mający wspaniałą przeszłość. Krzysztof Zarzecki był pierwszą osobą ze środowiska kulturotwórczego Toronto, którą poznałam po przyjeździe na emigrację w 2001 r. Spotkaliśmy się w kawiarni sieci Chapters. Ten znakomity tłumacz był wówczas wiceprezesem Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie. Ja zostawiłam ciekawą pracę historyka literatury polskiej na Uniwersytecie Łódzkim i szukałam kontaktów z ludźmi, którzy byliby mi bliscy zawodowo. Długo rozmawialiśmy, o tekście mojej książki na temat rodziny Tyszkiewiczów, o pisaniu, warsztacie twórczym. Dostałam wiele cennych rad. A na koniec otrzymałam propozycję korzystania z dużej biblioteki Państwa Zarzeckich i książek dotyczących literatury w języku polskim. Wtedy było to dla mnie, jak zapowiedź normalnego życia na emigracji. Biblioteka była nieodzownym narzędziem pracy, a przecież nie mogłam przewieźć na raz wszystkich moich książek. - Bibliotekę gromadzi się długo - mówił Krzysztof Zarzecki - my przez lata zbieraliśmy dużo książek.

Irena Harasimowicz-Zarzycka była uroczą panią, która było widać i słyszeć. Można było z nią godzinami rozmawiać i tematy się nie kończyły. - Musicie do nas wpaść - mówiła ilekroć się spotykaliśmy na imprezach kulturalnych - to dokończymy rozmowę. I ciepło dotykała dłoni, na znak przyjaźni.

Państwo Zarzeczcy zdecydowali się na powrót do Polski w 2014 r. Ich odejście to duża strata dla polskiej kultury.

Irena Harasimowicz-Zarzecka



Irena Harasimowicz-Zarzecka, Konstancin 2016 r., fot. Hanna Haska.

Tłumaczka, eseistka, redaktor. Zmarła 28 kwietnia 2019 r. Została pochowana na Warszawskich Powązkach, w grobie rodzinnym Zarzeckich.

Córka prawników, wnuczka rzeźbiarza i pedagoga Piotra Harasimowicza (1857-1914), który wraz z bratem Marcelim (1859-1935), malarzem i kustoszem, należał do grona organizatorów szkolnictwa artystycznego, Galerii Narodowej i Związku Artystów Plastyków we Lwowie. Ukończyła studia i uzyskała w 1963 stopień doktora filologii rumuńskiej na uniwersytecie w Bukareszcie, na podstawie rozprawy o prozie rumuńskiej poświęconej tragedii tzw. zagubionego pokolenia intelektualistów uczestników pierwszej wojny światowej.

W 1964 roku przebywała w Londynie u ojca, który jako były oficer wywiadu AK nie

mógł powrócić do Polski i był zatrudniony w Instytucie Sikorskiego oraz w Lozannie, gdzie studiowała w École Benedict. W latach 1965-67 pracowała w Dziale Prasowym, a później była szefem Protokołu Polskiej Akademii Nauk. W latach 1968-87 redaktorka, specjalistka do spraw literatury rumuńskiej w Państwowym Instytucie Wydawniczym. Tłumaczka języka rumuńskiego na wielu kongresach i konferencjach naukowych, literackich i artystycznych. Członek Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Od 1987 roku dzieliła czas między Toronto a Warszawę. Przełożyła na rumuński m. in. wiersze Tadeusza Różewicza (wydane z przedmową Ștefana Augustina Doinașă), Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta. Przełożyła z rumuńskiego m. in. wiersze Marina Sorescu „Punkt widzenia” (PIW 1970); tom aforystycznych powiastek filozoficznych Mateia Călinescu „Życie i opinie Zachariasza Lichtera” (PIW 1972); powieść Dany Dumitriu „Biesiada lichwiarza” (PIW 1975); powieść Mircea Eliadego Majtrei, poprzedzoną esejem o jego twórczości literackiej (Czytelnik 1988); sztuki Dumitru Salomona. Opracowała i opatrzyła wstępem antologię współczesnych opowiadań rumuńskich „Śmierć Ipu” (PIW 1971). Jest autorką Antologii poezji rumuńskiej, w której zaprezentowała we własnym wyborze i w znacznej części we własnych przekładach twórczość 77 poetów okresu lat 1939-80, poprzedzając swój wybór obszernym esejem o poezji rumuńskiej dwudziestego wieku i opatrując go (we współpracy z mężem Krzysztofem Zarzeckim) wyczerpującymi notami o autorach (PIW 1989). O tomie tym pisał Jerzy Lisowski, redaktor naczelny „Twórczości” i autor trzytomowej „Antologii poezji francuskiej”:

To naprawdę znakomita antologia, duża porcja wspaniałej i nowej, innej, zaskakującej poezji.

Zygmunt Kubiak, znakomity eseista i tłumacz, podnosząc „mistrzostwo przekładów” Ireny Harasimowicz oraz jej „rolę głównej ambasadorki kultury polskiej w Rumunii i rumuńskiej w Polsce”, orzekł, że jej

Antologia poezji rumuńskiej to jedna z naszych najważniejszych książek poetyckich.

Obok nagrody Fundacji Turzańskich (1993-1994), Irena Harasimowicz została uhonorowana jeszcze dwukrotnie: w 1990 nagrodą Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich przyznaną jednogłośnie przez jury pod przewodnictwem tegoż Zygmunta Kubiaka, które uznało jej Antologię za najlepszy przekład poetycki roku; oraz w 1999 nagrodą Stowarzyszenia Autorów ZAIKS za całokształt twórczości przekładowej. Autorka esejów m.in. o poezji Wisławy Szymborskiej, tekstu napisanego po przyznaniu jej nagrody Nobla; o obrazach nagradzanej na trzech kontynentach, wspaniałej malarki, do niedawna zamieszkałej w Toronto, Hanny Haski; oraz o poezji i prozie rumuńskiej pisarki i tłumaczki Flavii Cosmy, również mieszkanki Toronto.

Krzysztof Zarzecki, 31.05.2015

Krzysztof Zarzecki



Krzysztof Zarzecki, Obory 2016 r., fot. Hanna Haska.

Tłumacz, redaktor, wydawca. Zmarł 17 lipca 2019 r. Został pochowany na Warszawskich Powązkach, w grobie rodzinnym Zarzeckich.

Ur. 31 maja 1926 roku w Warszawie. Żołnierz AK, uczestnik powstania warszawskiego w batalionie Baszta na Mokotowie, jeńiec niemieckiego stalagu XB (Sandbostel). Maturę zdał na tajnych kompletach w Warszawie, po wojnie studiował germanistykę na Friedrich Wilhelms Universität w Bonn oraz polonistykę i anglistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Redaktor w „Czytelniku“ (1952-55), kierownik Redakcji Przekładów w „Iskrach“ (1955-63), kierownik Redakcji Anglosaskiej w Państwowym Instytucie Wydawniczym (1976-87). W latach 1963-65 stypendysta Fundacji Kościuszkowskiej, uczestnik Studium Pisarskiego (Writers' Workshop) Uniwersytetu Stanu Iowa. W latach 1965-76 lektor amerykańskiej

angielszczyzny w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Członek ZLP od 1963 roku do jego rozwiązania, w 1983 r. pełnił w nim m. in. funkcje wiceprzewodniczącego Klubu Tłumaczy oraz sekretarza Sądu Koleżeńskiego Oddziału Warszawskiego. Członek Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich (1985-87 przewodniczący Sekcji Tłumaczy Literatury) i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wiceprezes Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie.

W Toronto od 1987. Przełożył ponad trzydzieści pozycji z literatur anglosaskich, m. in. „Którzy upadają” Samuela Becketta, trylogię „USA” Johna Dos Passosa, „Sługę bożego” i „Ziemie tragiczną” Erskine’a Caldwella, „9 opowiadań” J. D. Salingera (współ z Agnieszką Glinczanką), „Zatrzaśnij ostatnie drzwi”, „Muzykę dla kameleonów” i „Tamtą Gwiazdkę” Trumana Capote, „Noc Iguany” Tennessee Williamsa, „Papierowego człowieka” Dashiella Hammetta, „Człowieka pogrzebanego” i „Lewe pieniądze” Rossa MacDonalda, „To, co najważniejsze” Avery’ego Cormana, „Kronikę rytą w kamieniu” i „Przyjęcie u Larry’ego” Carol Shields, „Miłość” Toni Morrison, „Klarę Callan” i „Cudzołóstwo” Richarda B. Wrighta, wiersze Irvinga Laytona oraz kilkunastu poetów rumuńskich w „Antologii poezji rumuńskiej” Ireny Harasimowicz-Zarzeckiej, sztuki dramaturgów kanadyjskich Carol Shields, Dave’a Carleya i Kristen Thomson. Autor trzech antologii: „26 współczesnych opowiadań amerykańskich” (współ z Maximem Lieberem, 1963, 1973), „32 współczesne opowiadania amerykańskie” (1973) i „Opowiadania z Dzikiego Zachodu” (1974). Jego przekład „Ciężkich pieniędzy”, trzeciego tomu trylogii „USA” Johna Dos Passosa, został nagrodzony przez Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich jako najlepsze tłumaczenie roku 1990. Laureat nagrody Stowarzyszenia Autorów ZAIKS za całokształt dorobku przekładowego (1995) i Fundacji Władysława i Nelli-Turzańskich (1993-1994). Wydawca polskich przekładów kilkudziesięciu tytułów najwybitniejszych pisarzy anglosaskich, od Szekspira i dramaturgów elżbietańskich, poprzez Jane Austen, Josepha Conrada i Jamesa Joyce’a, po Samuela Becketta, Patricka White’a i Josepha Hellera.

Materiał otrzymany dzięki uprzejmości pani Hanny Haski.

Opowiadanie Ewy Stachniak „Spacer nad Credit River” w tłumaczeniu Krzysztofa Zarzeckiego:

<https://www.cultureave.com/spacer-nad-credit-river-czesc-1/>

<https://www.cultureave.com/spacer-nad-credit-river-czesc-2/>

Spacer nad Credit River. Część 2.

Ewa Stachniak (*Toronto*)

Tłumaczenie: Krzysztof Zarzecki



Fot. Jacek Gwizdka.

Schodząc z naszego domu do Credit River trzeba przejść koło małego jeziorka. Gdyśmy się tu wprowadzali, jezioro było dwa razy większe, ale z każdym rokiem pomniejsza je gromadzący się u brzegów muł i z upływem czasu brzegi zarosła kwiecista fioletowa krwawnica, tłamsząc inną roślinność. Jednakże kiedy szliśmy tamtędy z mamą owego lipca, widziało się jeszcze kwiaty dzikiej marchwi i nawłoci, a między nimi tylko niewielkie wysepki fioleto.

Ojciec zmarł przed siedmioma miesiącami i niepokoiłam się wciąż o mamę. Sprawiała czasami wrażenie zagubionej, jakby mózg jej się kurczył i obłuzowywał, niczym orzech wysychający w łupinie. Przez większość czasu nie dostrzegało się nic, aż nagle jakaś drobna rzecz wprawiała ją w panikę, na przykład niemożność przypomnienia sobie, gdzie zostawiła okulary. Mogła z tobą rozmawiać i raptem się zrywała, biegła do swojego pokoju, sprawdzić, czy ma w torebce okulary albo gdzie schowała klucze do swego warszawskiego mieszkania. Zdarzało jej się to dwa, trzy razy w ciągu godziny, tak jakby żadna z poprzednich kontroli nie była wystarczająca.

Mama szła szybko, tuż koło mego boku. Kącikiem oka widziałam jej lekko zgiętą postać, rwącą do przodu. Raptem się zatrzymała, żeby zrobić głęboki wdech, jakby pijąc powietrze, łykając każdy jego haust i wydychając go z długim westchnieniem. Linie na jej policzkach się pogłębiły. Schudła, dłonie zrobiły jej się kościste, ostre. Rano spała długo, śniadania przygotowywałam jej obfite, z zupą mleczną, wędliną, jajecznicą. Myłam i krajałam rzodkiewki, paprykę, dymkę. Jadła zachłannie, po czym upierała się przy ręcznym zmywaniu, żeby nie zużywać zbyt wiele wody.

- Jak tu spokojnie - mówiła - tak cicho.

Uważałam, że to dobry znak, że wszystko jeszcze przed nami.

Pogrzeb, o którym mama mówiła, nie był to pogrzeb ojca. Miała na myśli pogrzeb swego starszego brata, Tadek, który zmarł w 1955 roku. Miał trzydzieści cztery lata i zginął w wypadku motocyklowym. Nikt wówczas nie nosił kasków; było mokro; usiłował wyminąć rowerzystę. Jego pasażer i rowerzysta wyszli z wypadku bez szwanku, Tadek żył jeszcze tylko kilka godzin.

- Umarł nie odzyskawszy przytomności - powiedziała mama.

Pamiętam wujka mętnie i tylko dlatego, że mi go przypominano. Kiedy umarł miałam trzy lata. "Nie pamiętasz? - dziwiła się babcia załamującym głosem.- Nie pamiętasz, jak cię lubił? Nazywał cię K ę d z i o r e k" - i wkrótce zaczynało mi się wydawać, że go pamiętam. Gdzieś wśród papierów mam do dziś czarno-białą fotografię wujka Tadka w trumnie, w czarnym garniturze, z twarzą na zdjęciu nieostrą, lecz surową. Przez jego prawą skroń przebiega cienka, popszarpana linia, blizna.

Byłyśmy nad morzem, gdy to się wydarzyło. Na wakacjach. Rano kopałam dołki w miękkim, mokrym piasku na skraju plaży, okładałam je muszlami i czekałam, aż fale Bałtyku wypełnią je słoną wodą. Po południu siedziałam w zatłoczonym pociągu, między mamą a babcią, obiema z bladymi twarzami, trzęsącymi się rękami. Na wszystkie pytania słyszałam upomnienia, żebym, na miłość Boską, cicho siedziała. Wiele lat później mama mi powiedziała, że nie wiedziały wówczas, co się właściwie stało. Kiedyśmy przyszły z plaży, czekał na nas w domu telegram od dziadka: "Syn nie żyje stop wracajcie natychmaist stop".

W roku śmierci Tadka na naszej ulicy straszyły jeszcze ruiny, wielkie kupy gruzu, porośnięte trawą, łopianem, kępkami kłujących ostów. Po zakończeniu wojny ojciec wygrzebał spośród ruin dwa skórzane fotele, białe żelazne łóżko, dębowe biurko, parę pogiętych garnków. Pokleił nóżki foteli, wyprostował garnki, w okna wprawił grube metalowe pręty.

- Byłaś wtedy takim grzecznym dzieckiem - mówiła mama. - Potrafiłaś się godzinami bawić sama. Nigdy się nie dąsałaś ani nie płakałaś. - Przypominała, jak siedziałam przeglądając grube białe kartki przedwojennej encyklopedii, która stała na półce; szczególnie interesowały mnie plansze przedstawiające części ciała ludzkiego, każda chroniona cienką mleczną bibułą. - Mogłaś się w nie wpatrywać bez końca - ciągnęła mama, a ja zachodziłam w głowę, co mogło mnie w nich tak fascynować. Zwoje mięśni, żył i arterii czy też surowa prostota kośćca? - Przez jakiś czas myślałam, że zostaniesz lekarką - powiedziała mama z nutką rozczarowania w głosie, którą starała się stłumić. - Mniejsza o to - zakończyła i machnęła ręką.

Wszystko, co pamiętam z tego okresu, to babcię z nabiegłymi krwią oczyma, wargami zaciśniętymi w grymas bólu, śladami zębów na kostkach dłoni. Chodziła w czarnej sukni i czarnych pończochach, wychodząc nakładała czarny kapelusz z

woalką. Wieczorami przesiadywała w mroczniejszej kuchni, wolno obracając pierścionki na palcach. Potrafiła tak siedzieć godzinami, wpatrzona w szarzące okno, szkielec domu naprzeciwko, z kikutami ścian i pustymi ramami okien. Kiedy zapalałam światło, mierzyła mnie takim wzrokiem, jakby ujrzała ducha.

- Wypłakiwałam sobie oczy po śmierci Tadka - powiedziała mama. - Teraz już nie potrafię płakać. Nawet po moim mężu.

Z warg ocierałam jeszcze ze wstrętem lepkie nitki przędzy, chociaż wyszliśmy już na otwartą przestrzeń nad rzeką, gdzie już ich nie było.

- Tak ci powiedziała? - zapytałam. - Babcia ci tak powiedziała?

Czułam wzbierający gniew, który mi podchodził pod gardło.

- Tak - odparła mama. - Zaraz po pogrzebie powiedziała: "Wolałabym, żebyś to ty zginęła zamiast niego".

- A coś ty jej odpowiedziała? - spytałam.

- Nic - odrzekła mama przyspieszając kroku.

Na policzki i szyję wystąpiły jej plamy, czerwone, nabiegłe krwią. Kiedy się z nią zrównałam, nie patrzyła na mnie, jej oczy biegały na boki, na drzewa, na rzekę. Wszędzie, tylko nie na moją twarz. Ale ja nie miałam zamiaru ustąpić.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Kochała go bardziej - wyznała wtedy. - Był jej synem. - Ważyła każde słowo wypowiadając je, jakby nim zdumiona, ogłuszona. - Tego nie można odmienić.

Kiedyś próbowałam opowiedzieć Patrickowi o moim pierwszym dniu w Kanadzie. Leżeliśmy w łóżku, przywarci do siebie, złani potem, nasze serca dudniły krwią. Przebiegałam palcami po włosach na jego piersi, robiłam w nich małe korytarzyki, potem je wygładzałam. Łóżko było skotłowane, skrzypiało lekko za każdym naszym poruszeniem. Zrobiłam głęboki wdech, usiadłam, z poduszką pod plecami, i

powiedziałam mu, jak wszystko w Kanadzie, nawet śmieci w pojemnikach, wydawało mi się niewiarygodnie kolorowe i jak się włóczyłam godzinami po ulicach, gapiąc się na wystawy, chora z zazdrości.

- To wspaniałe! - pochwalił ze śmiechem, tak jakbym powiedziała coś szczególnie inteligentnego, utrafiła w jakieś sedno, o którym nie miałam pojęcia. - Tak być powinno!

Twarz Patricka wyglądała śmiesznie na łóżku, odwrócona, z uśmiechem zakrzywionym w dół, oczami przymkniętymi od góry. Przesunęłam palcami po jego wargach, pociągnęłam go za wąsy, a on chłapał zębami, ale nie dość szybko, żeby złapać moje palce. Roześmiał się. Śmieliśmy się oboje. Potem się obrócił, pociągnął mnie za nogi, tak że zjechałam z poduszki, wylądowałam obok niego i czekałam, aż rozsunie mi językiem zęby. Ramiona miał silne, gładkie, pachnące mydłem.

Opowiadania Patricka nie płynęły gładko. "Nie mam gadanego" - mawiał i ustawał akurat w miejscu, gdzie jego opowieść zaczynała się stawać ciekawa. Zrobiłam się mistrzem delikatnych ponagleń, słów obracających się w pieszczotę.

Patrick miał osiemnaście lat, kiedy komisja poborowa w San Francisco wezwała go na badania lekarskie. "Jak człowiek przeszedł, to był ugotowany!" - oświadczył unosząc lekko podbródek, wygładzając wierzchem dłoni rudawą bródkę. Opowiedział mi o wezwanych, którzy zażywali proszki na pobudzenie tarczycy, objadali się cukrem i symulowali cukrzyków. Opowiedział o pewnym facecie, który się przebrał za kobietę i rzucił do całowania sierżanta z komisji. Próbowałam sobie wyobrazić Patricka jako amerykańskiego hippisa w rozkloszowanych spodniach, etaminowym wdzianku, ze skórzanym naszyjnikiem z paciorków i białych kłów, kroczącego w marszu protestacyjnym.

Kiedy otrzymał powołanie, ojciec dał mu samochód, wręczył dwadzieścia tysięcy dolarów i kazał uciekać na północ. Wyobraziłam sobie, jak jedzie swoim żółtym Volkswagenem garbusem do Kanady, z długimi włosami, z czerwoną chustą na szyi. Wizę stałego pobytu otrzymał od razu na granicy. Jadąc ścisnął kierownicę tak mocno, że go jeszcze długo potem bolały dłonie, ale nie uważał, że zdradza swoją ojczyznę.

“Nie chcę wracać do kraju w trumnie - rozumował. - Nie będę umierał za imperialistycznego molocha ani palił jakichś pieprzonych nędzarzy napalmem”.

Był wówczas marksistą. W pokoju miał afisz z podobizną Mao, palił haszysz i podziwiał chińską Czerwoną Gwardię.

- Czerwoną Gwardię? - zapytałam. - Podziwiałeś Czerwoną Gwardię?

- Uważałem, że świat trzeba zmieniać... - zaczął i urwał.

- Przez zabijanie nauczycieli, zsyłanie ludzi na reedukację do obozów pracy? - zapytałam wciąż nie dowierzając własnym uszom.

W Polsce wiedzieliśmy, że jest nam źle, ale nawet w najgorszych okresach, kiedy w sklepach był tylko ocet i groszek w puszkach, nigdy nie zamienilibyśmy się z Chińczykami.

- W tamtych czasach bym ci powiedział, że gwardia narodowa strzela do protestujących studentów na uniwersytecie w Kent.

- A teraz? - zapytałam.

- Teraz bym powiedział, że byłem idiotą, zaślepionym idiotą - odparł, a ja czułam jedynie, jak jego język sunie po mojej szyi, pozostawiając wilgotny ślad.

Patrick był uprzednio żonaty i ma dwie córki, Daisy i Heather, dziewiętnasto- i szesnastoletnią. Daisy została właśnie przyjęta na Uniwersytet Trent, ale odmówiła uczęszczania na jakiegokolwiek kursy biznesowe. Postanowiła zamiast tego iść na studium zagadnień kobiecych. Gdyby miał ponownie dzieci, mówił Patrick, wychowałby je w żelaznej dyscyplinie, posyłał do najlepszych prywatnych szkół w kraju. Nigdy więcej tych permissywnych psychodelicznych pierdołów, którym tak długo hołdował.

Czemu, zapytałam go kiedyś, gdy właśnie od nich wrócił i chodził tam i z powrotem po pokoju, zatrzymując się tylko, żeby wyjrzeć przez okno. Działo mi na nerwy to jego wygląkanie, jakby oczekiwał czyjegoś nadejścia, nadejścia osoby, której nawet nie znam.

- Żeby im dać szansę w życiu - odparł. Usiadł wreszcie, wyciągnął nogi na tapczanie.
- Żeby nie były takimi ofiarami. Umiały się bronić. Świat się kurczy, a one marnują czas.

Na skarpetach miał drobne supełki zmechacenia, zanotowałam sobie w pamięci, żeby je wyrzucić.

- To moja wina - powiedział uderzając pięścią w dłoń, co też już nie raz widziałam. - Powinienem je był trzymać twardą ręką.

Westchnęłam i wyszłam do kuchni, kończyć obiad. Patrick przyszedł za mną. Był zawsze taki po widzeniu z córkami, drażliwy, poirytowany. Zdumiewało mnie nieodmiennie, jak jawnie maluje się to na jego twarzy, jak zwęża i zagina się jego górna warga, jak ściągają i rozszerzają się tuż pod skórą naczynka krwionośne.

Ułamał kawałek bagietki, którą właśnie przyniosłam ze sklepu. Była jeczczcie ciepła, okruszki sypały się po całej podłodze. Jadł za dużo, pod białą koszulą widziałam jego zaokrąglający się brzusek. Kotlety były gotowe, wszystko, co mi pozostało, to rozetrzeć kartofle na purée w mikserze. Kiedy skończyłam, Patrick stał palcem z jej krawędzi puszystą białą masę i oblizał palec do czysta.

Erindale Park stanowił tego lata schronienie przed falą upałów; dało się tu wciąż swobodnie oddychać, spacerować nie zalewając się potem. Po rzece brodzili rybacy w długich zielonych gumiakach. Łowili teraz pstrągi. Na jesieni mieli wyciągać wielkie zielonkawe łososie, które płynęły pod prąd składać ikrę. Pod koniec października brzeg będzie usłany ich gnijącymi zewłokami, odciętymi łbami o rozdziawionych szczękach i wyłupiastych, martwo ślepiących oczach.

Mam wiele fotografii babci. W młodości była elegancką kobietą. Na jednym ze zdjęć siedzi na ławce, z nogą na nodze, z dłońmi splecionymi na kolanie. W tle landszaft z drzewem i rzymskimi ruinami, kolumną przeciętą w połowie, zakrzywionym portalem u dołu. W latach 1930 taka sceneria uważana była widać za romantyczną. Twarz babci okalają ciemne loki, jej oczy były już wówczas puste, melancholijne, zranione. Na rok przed śmiercią obcięła krótko włosy, zaczęła nosić długie kalesony, spodnie,

pantofle na płaskim obcasie. W ciężkim, podbitym futrem palcie wyglądała jak żołnierz maruder.

W sercu nosiłam gniew na babcię. Miałam jej za złe wiele rzeczy. Szepty w kuchni, sposób, w jaki mi wykręcała rękę.

- Miejsce matki jest w domu, a nie w tym jej i n s t y t u c i e. - Wymawiała to słowo jak obelgę, ostro, z naganą, głośniejsz niż inne. - Zadzwoń do niej - żądała - zobaczymy, czy rzeczywiście tam jest.

- Dlaczego?

- Dzwoń. Rób, co mówię! - syczała, a ja nakręcałam numer instytutu i prosiłam telefonistkę, żeby mnie połączyła z mamą.

- Co takiego? — Głos mamy był w pierwszej chwili zawsze wystraszony.—Stało się coś?

- Nie, nic takiego - mówiłam.

Widziałam ją, jak stoi w swojej małej pracowni z zapachem formaliny i kurzu, prawą dłonią trzymając się za to miejsce nad sercem.

- Zapytaj ją, kiedy wróci - przynaglała babcia trącając mnie łokciem.- Zapytaj własnej matki, kiedy wróci do domu, do rodziny.

- Kiedy wrócisz? - pytałam potulnie.

- Niedługo - odpowiadała mama, roztargniona teraz, pochłonięta już czym innym. Nasz telefon był czarny, słuchawka ciężka. Głos dobywał się z niej zniekształcony, jak z głębokiej, wąskiej studni. - Nie czekajcie na mnie z obiadem. Zaczynajcie jeść sami.

- Co powiedziała? - dopytywała się babcia. - Co powiedziała?

- Żeby na nią nie czekać z obiadem - odpowiadałam i uciekałam.

Ale nie mogłam nie słyszeć głębokich westchnień babci i zbyt głośnego brzęku

talerzy, których omal nie rozbijała. Co do taty zaś, to zbywał milczeniem zatrute strzały, jakie wysyłała babcia.

- Miejsce żony jest w domu - obwieszczała przy stole - a rzeczą męża jest tego dopilnować.

Tata kiwał głową i podnosił do ust łyżkę z zupą.

- Wyśmienita zupa, mamó - mówił. - Co za smak.

- Robię, co mogę, ale są granice. W sklepach pustki - burczała babcia i przenosiła uwagę na mnie. - Nie mlaskaj. Siedź prosto. Łokcie ze stołu.

- Słuchaj babci - wtórował tato, a ja mu posyłałam wściekle spojrzenie.

Kiedy mama wreszcie wracała, zjadała co babcia postawiła przed nią na talerzu, po czym uciniała swoją drzemkę. To jej sekret, powtarzała zawsze, ta jej zdolność zasypiania o każdej porze dnia, we wszystkich okolicznościach. Kiedy nadchodziła pora, żeby ją obudzić, otrząsała się ze snu z trudem, jakby powracała z drugiego końca świata, twarz miała pomiętą i czerwoną, toczyła wzrokiem dokoła pokoju, próbując zrozumieć, gdzie jest i co to wszystko znaczy. Siadała, rozcierała twarz dłońmi, po czym szła do kuchni pomagać babci. Słyszałam znad odrabianych lekcji ich wznoszące się i opadające głosy. Długie monologi babci i krótkie przytakujące mruknięcia mamy.

- Zawsze jej przytakiwałaś - wypaliłam, kiedy mama się schyliła po jakiś odłamek skalny.

Przed zakrętem rzeki było odsłonięte zbocze skalne. Tablica ostrzegała: "Uwaga! Spadające kamienie!" Mama oddzieliła płaską warstwę łupka, przełamała ją w pół. Pokrywały ją długie linearne wzory.

- Nic szczególnego - powiedziała odsuwając łupek dalej od oczu. - Cefalopody i korale. - Kamień powrócił na usypisko. - Może nie powinnam ci była tego mówić - odezwała się po chwili. - Nie chciałabym, żebyś tak pamiętała babcie.

- A jaką chcesz, żebyś ją pamiętała? - zapytałam głosem zbyt wysokim, zbyt

napiętym, żeby tego nie usłyszała.

Mama się zatrzymała i stała, jak mi się wydawało, zbyt długą chwilę. Przestraszyłam się, że zapomniała, co mi ma powiedzieć, ale się myliłam.

- Chcę, żebyś pamiętała, że bez jej pomocy nigdy bym sobie nie dała rady - powiedziała. - Nigdy bym nie była w stanie połączyć pracy i rodziny. Nigdy. - Po czym, ruszając do przodu, obróciła się do mnie i szepnęła: - A nigdy naprawdę nie pragnęłam niczego innego.

Nim doszliśmy do zakrętu rzeki, mama zwolniła kroku, więc zaproponowałam, żebyśmy wracały. W domu mama ucięła sobie popołudniową drzemkę, a ja usiadłam w kuchni i oglądałam dziennik na małym telewizorku. Konflikt w miasteczku Oka się zaostrzył. Drogi do cmentarza Indian Mohawk w Kanestake zostały zablokowane, padły strzały. Na ekranie widziałam czołgi i żołnierzy w mundurach khaki ustawiających się w szyk bojowy. Potem kamera przesunęła się na grupkę Indian w koszulkach i dżinsach z obciętymi nogawkami, którzy bili w bębny i śpiewali.

- Koszt ogólny konfrontacji w Oka wyniesie wkrótce ponad dwieście milionów dolarów - powiedział później ktoś w wywiadzie telewizyjnym. - Przekracza to znacznie wartość rynkową terenów, do których Mohawkowie roszczą sobie pretensje, a które miasto chce przeznaczyć na tor golfowy.

Minęła może godzina, gdy mama wyłoniła się ze swego pokoju z wyrazem popłochu na twarzy.

- Znalazłam to w swoich rzeczach - oznajmiła wręczając mi czerwoną chustę. - Ty ją tam położyłaś?

- Dałam ci ją - odparłam. - Nie pamiętasz?

- A, rzeczywiście, dałaś - powiedziała trochę za szybko. Zmarszczyła czoło i zdawało mi się, że widzę w jej oczach łzy. - Jaka ja niemądra! Oczywiście, że mi dałaś!

Wieczorem byłyśmy obie w kuchni, przygotowując obiad. Ja właśnie zbiłam sześć kawałków wieprzowiny na kotlety, a mama wcierała czosnek i majeranek w różowe mięso, kiedy kącikiem oka dostrzegłam w ramie drzwi Patricka, rudawość jego brody

i jego wysoką muskularną sylwetkę. Miał na sobie koszulkę i dżinsowe szorty, w jednej ręce trzymał trzy kieliszki, w drugiej butelkę merlota. Otworzył butelkę, nalał do swojego kieliszka odrobinę wina i przed spróbowaniem podniósł go do światła, podziwiając rubinową barwę trunku. Widziałam, jak kiwa kilkakrotnie głową z uznaniem, nim podniósł kieliszek do ust.

- O czym, panie, tak rozprawiacie przez cały dzień? - spytał.

Mama posłała mi pytające spojrzenie, więc jej przetłumaczyłam.

- O niczym, kochany - odparłam. - Mama opowiada mi różne stare historie.

- To świetnie.

Patrick ma miły głos, kiedy chce się przypodobać. Gładki, miękki, słodki jak miód. Głos podobał mi się w nim od początku, kiedy jeszcze musiałam z niego wyciągać opowieści, historyjki z okresu jego kalifornijskiego dzieciństwa, wszystko, co pamiętał. Jak to było, kochać się w wielkich amerykańskich krążownikach szos nad brzegiem oceanu? Migdalić się, iść na całość?

- Fiu! - odpowiadał ze śmiechem. - Chcesz spróbować?

Mama siekała teraz cebulę w maleńkie, doskonale równe, mięsiste kostki. Zapaliła świece, żeby oczy nie łzawiły jej od zapachu cebuli.

- Obawiałem się, że rozmawiacie o mnie - powiedział nalewając wino do trzech kieliszków. Podał je nam, po czym zapytał: - Czy wszystko w porządku?

Obróciwszy się zobaczyłam, że mama ma wzrok utkwiony w twarz Patricka, w jego lekko wyłupiaste oczy, w czerwonawe fałdki skóry pod nimi. Kręciła głową, jakby coś było niezupełnie w porządku, ale ona nie może, jak na razie, zdecydować, co to takiego. Pamiętam, że doznałam potem uczucia nieokreślonej satysfakcji, gdy dostrzegłam, jak mama marszczy czoło.

- Więc za zdrowie pięknych pań! - powiedział Patrick unosząc z niepewnym uśmiechem kieliszek. - Za to się pije w Polsce, prawda? I diablo słusznie!



Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts

Pierwsza część opowiadania:

<https://www.cultureave.com/spacer-nad-credit-river-czesc-1/>

Opowiadanie ukazało się w „Odrze”.

Spacer nad Credit River. Część 1.

Ewa Stachniak (*Toronto*)

Tłumaczenie: Krzysztof Zarzecki



Fot. Jacek Gwizdka.

- Tuż po pogrzebie - głos mamy brzmiał, jakby mówiła o rzeczy zwyczajnej, wręcz błażej - twoja babcia powiedziała: "Wolałabym, żebyś to ty zginęła zamiast niego".

Schodziłyśmy z mamą wąską, wijącą się ścieżką do Erindale Park. Mama właśnie przyjechała z Polski, miała pobyc z nami dwa, trzy miesiące, ostatnia tak daleka i długa podróż jej życia. Do naszych policzków i ust lepiły się niewidzialne pajęczyny, na cienkich nitkach zwisających z drzew kołysały się małe żółtawe gąsienice. Nigdy nie widziałam ich tyle. Machałam przed sobą ręką, jakbym odganiała komary, ale niewiele to pomagało. Mama przewiązała sobie usta i nos czerwoną chustką, którą jej dałam. Wyglądała jak zamaskowany Indianin z dziennika telewizyjnego, jeden z tych wojowników ze szczepu Mohawk, którzy blokowali drogę do miasteczka Oka w Quebecu.

Wtedy łudziłam się jeszcze, że jesteśmy z Patrickiem szczęśliwi. Budziłam się rano z uczuciem uniesienia, które mnie nie opuszczało przez cały dzień. Wieczorami zapalałam świece i podawałam obiad na miśnieńskiej porcelanie, którą przywieźliśmy z Europy. Patrick otwierał butelkę naszego najlepszego merlota, który

mama piła drobnymi, nieuważnymi łyżkami, jakby to była woda. Od pierwszego dnia jej pobytu, gdy oczy kleiły jej się jeszcze po zmianie czasu, snułam plany czekających nas wycieczek. Pokażę jej wszystko, co warte zobaczenia, obiecywałam, a później wynajmiemy domek nad Georgian Bay i będziemy się wszyscy razem cieszyli kolorami jesieni.

- Czy to nie za kosztowne? - zapytała zaciskając wargi w wąską, cienką linię i rzucając mi niespokojne spojrzenie.

- Czy to ważne? - odparłam. - Możemy sobie na to pozwolić.

W tym czasie Patrick nosił jeszcze brodę, gęstą, rudawą, zgrabnie przystrzyżoną, jej włoski sprężynowały pod moim dotykiem, powracały do pierwotnego kształtu jak gąbka. Poczułam, jak jego stopa przesuwana się pod stołem po mojej łydce. Mama nie spuszczała ze mnie oczu, wprawiało mnie to w zakłopotanie. Nie chciałam, żeby się czuła u nas nieswojo, miała wrażenie, że nam zawadza. Odepchnęłam jego stopę i przestał.

Mama była paleontologiem. Przez czterdzieści lat badała skamieliny ryb, ciemnobrązowe szkielety uwięzione w zwartych warstwach karpackich łupków. Ojciec powiedział mi kiedyś, że z tych skamielin potrafi ona określić głębokość pradawnych mórz, skład ich wód, rodzaj prądów i pokładów geologicznych na ich dnie. Co lato wyjeżdżaliśmy wszyscy do podkarpackich wiosek z ich wozami konnymi, cuchnącymi wygodkami i kopącymi lampami naftowymi. Od miejscowych chłopów wynajmowaliśmy pobielane izby, w których nad chwiejnymi łózkami z siennikami wypchanymi słomą wisiały obrazy Chrystusa z obnażonym gorejącym sercem.

Codziennie rano mama, tato i kilkoro studentów, którzy z nami przyjeżdżali, szliśmy na odkrywki. Co roku obiecywałam sobie, że się do tego zapalę, i przez pierwsze kilka dni łupałam warstwy skalne z nadzieją, że odkryję jakiś rzadki okaz, coś, czego mama nie odrzuci za jednym rzutem oka jako "zwykłego śledzia". Ale mój entuzjazm gasł szybko. Gryzły mnie owady, woda w potokach była za płytka do pływania, a mama nie miała czasu na zabawy, odbijała płatami warstwy łupka, rozdzielając je

niecierpliwie i odrzucała puste na rosnącą kupę. Zostawałam więc z babcią we wsi. Próbowałam się bawić z wiejskimi dziećmi, ale te miały swoje obowiązki i śmiały się z mojej mowy.

- Co twoja matka tam kopie? - chciały wiedzieć. - Złota szuka?

- Nie - mówiłam żałując, że tego nie robi, pragnąc, żeby robiła cokolwiek, co bym mogła wytłumaczyć.

- Nazywają się *gypsy moth* - wyjaśniałam mamie. Nie znałam ich polskiej nazwy, nie znałam też łacińskiej, którą mama by pewnie rozpoznała. - Są w tym roku plagą w całym Ontario.

Wielkie dęby, które mijaliśmy koło ścieżki schodzącej do rzeki, utraciły prawie wszystkie liście. Był dopiero koniec lipca, a całą ziemię zaścielały półzeschłe płatki i gołe łodyżki, szkielety liści, zielonkawo, pajęczko cienkie.

- Mam nadzieję, że dęby nie uschną - powiedziałam.

Mama wzruszyła ramionami.

- Oczywiście, że nie uschną - odparła. - To dla nich nie koniec świata.

Patricka poznałam krótkie parę miesięcy wcześniej, w grudniu 1989, na przyjęciu u znajomych. Właśnie zostałam zwolniona z pracy, a miałam już trzydzieści osiem lat. Był to okres, kiedy pierwsza fala cięć budżetowych dotknęła ontaryjskie uczelnie. Uczyłam nowych imigrantów angielskiego, dopóki pewnego dnia nie zredukowano pięciorga z nas.

Powinłam była wiedzieć, co się szykuje, ale nie wiedziałam. Lubiłam swoją pracę, byłam w niej dobra. Studenci mnie chwalili. Telefon zadzwonił o siódmej rano, parę minut przed moim wyjściem na zajęcia o ósmej. Ktoś z Działu Personalnego, osoba, z którą nigdy dotąd nie miałam do czynienia, zawiadomił mnie, że mam przyjść o czwartej na zebranie.

- Jakie zebranie? - zapytałam. - O co chodzi?

- Tego nie mogę pani powiedzieć - odrzekła kobieta. - Przykro mi, ale takie zarządzenie. Nie wolno mi więcej mówić.

W college'u szef nie chciał się ze mną zobaczyć. Sekretarka powiedziała mi, że jest zbyt zajęty. Mam poczekać do zebrania, to się wszystkiego dowiem. Czułam, że nie może to być dobra wiadomość, ale miałam jeszcze nadzieję.

- Może chcą cię awansować - szepnęła mi z uśmiechem przyjaciółka.

O czwartej nie pozostał mi już cień nadziei. Szef unikał mego wzroku, wręczając mi białą kopertę z moim nazwiskiem.

- Nie jest to sprawa pani kwalifikacji - powiedziała słodziutkim głosem personalna - ani wyników pani nauczania. Decyduje niewielka wysługa lat.

W kopercie, oprócz zawiadomienia o zwolnieniu, były dwie broszury. "Poradnictwo i usługi prawne dla pracowników wyższych uczelni" - głosiła czerwonymi literami jedna z nich. "Jak sobie radzić w kryzysach życiowych" - doradzała druga.

W Polsce mówiliśmy, że nieszczęścia chodzą parami. Parę dni później w kieszeni marynarki mego przyjaciela znalazłam pomiętą kartkę z nazwiskiem i telefonem kobiety. Wykręciłam numer.

„Cześć! Tu Catherine. Wiecie, jak nie lubię, kiedy mi coś przelatuje koło nosa. Dotyczy to i waszego telefonu. Zostawcie wiadomość albo zadzwońcie jeszcze raz”.

Młody, jędrny głos kobiety. Prężny, pomyślałam, pewny siebie. Wyobraziłam sobie jej smukłe kształty opięte lycrą, długie kasztanowe włosy. Kasztanowe włosy wzięły się z reklamy w *New Yorkerze*, którą dzwoniąc widziałam kątem oka: młoda kobieta w czarnej sukience bez rękawów, z węzowym uśmieszkiem triumfu na wargach, zaciąga się cygarem. Z ciemności w tle dochodzi męski głos: "Agnes, nie widziałaś moich Don Diegos?"

Kiedy go poznałam, Patrick miał na sobie ciemnopopielaty garnitur, w klapie wpięty emblemat liścia klonowego. Zapach wody kolońskiej otaczał go ostrą piżmową

tarczą. Przedstawił się jako konsultant do spraw systemów ochrony środowiska, z ramienia rządu sprzedający technologię kanadyjską do Chin.

- I podoba się panu ta praca? - spytałam.

- Cóż, praca jak praca - odparł przyglądając się z uśmiechem, jak cedzę wino. - Nie mogę powiedzieć, że jej nie lubię. Poza tym nieźle mi idzie. A pani?

Opowiedziałam mu o Polsce. Kiedy z niej wyjeżdżałam w 1982 roku, sklepy były puste, po Warszawie jeździły czołgi, żołnierze czaili się na rogach ulic.

- Ale to już melodia przeszłości, nie? Co pani robi t e r a z?

Rzucił to pytanie z lekkim półuśmiechem na twarzy, tym uśmiechem filuternego chłopca, jakiemu najtrudniej się oprzeć. To jego t e r a z wprawiło mnie w zakłopotanie. Powiedziałam, że padłam ofiarą redukcji w college'u, ale udało mi się zdobyć parę kursów tu i tam. Robię przekłady, tłumaczę w Departamencie Imigracji. Co się trafi.

- Marnuje pani czas, Yvonne - orzekł.

Już wtedy mi się podobał. Pamiętam, jak patrzyłam na jego dłoń, w której trzymał szklaneczkę whisky, na kształt jego paznokci z wymownymi śladami skaleczeń. Biała nasada paznokcia palca wskazującego wżerała się głęboko w ciało; widać odcięta kiedyś, nie zrosła się nigdy właściwie. To ręce mężczyzny, który się nie oszczędza, pomyślałam, który potrafi zrobić wszystko.

- Jest pani za dobra na takie bzdety - powiedział patrząc mi prosto w oczy, a skóra jego twarzy napięła się i poróżowiała.

Siedzieliśmy od dłuższego czasu na wysokich stołkach barowych, zaczynały mnie od tego boleć plecy. Pokręciłam szyją, żeby zmniejszyć trochę napięcie mięśni, ale niewiele to pomogło. Oparłam się na łokciu, popatrzyłam na Patricka z ukosa.

- Rynek azjatycki jest przereklamowany, ślepa uliczka, tak ja to widzę. Europa to co innego - mówił - najwyższa pora, żebyśmy się tam załapali.

Święta racja, myślałam. Kiedyśmy to mówili, kruszono betonowe płyty muru

berlińskiego, łupano je na pamiątkowe kamyki. Polska przeobrażała się szybko w kwitnący rynek, krainę wielkich możliwości, z giełdą, McDonaldami, pizzeriami, Marriottem i lalkami Barbie o szeroko rozwartych oczach i twardych, spiczastych piersiach.

Kiedy pojechałam do Warszawy na pogrzeb ojca, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Partyjne slogany głoszące wieczną przyjaźń Polski ze Związkiem Radzieckim zostały zastąpione kolorowymi billboardami. Chodniki były zastawione improwizowanymi stoiskami. Cokolwiek się nadawało, stoliki ogrodowe czy łóżka polowe, służyło za punkty sprzedaży ze zręcznie ustawionymi piramidami papierosów malboro, camel, rothmans. Niektóre oferowały francuskie perfumy, niemieckie mydła, wielkie plastikowe butelki szamponu.

- Koniec z kolejkami - powiedziała mama. - Mogę kupić szynkę, kiedy chcę. Starczy dla każdego. Więc dlaczego musieliśmy się uganiać za wszystkim przez tyle lat?

Siedziałyśmy w nowo otwartej restauracji na Nowym Świecie, mama w swojej czarnej sukni wydawała się taka drobna, jakby głowę zaprzętała jej tylko myśl, żeby zajmować jak najmniej miejsca. Czekałam, kiedy zacznie mówić o ojcu, ale nie zaczynała. A ja nie przynaglałam.

- Nie mogę na to patrzeć - szepnęła do mnie wskazując brodą młodą kobietę w dzinsach, która się sadowiła przy sąsiednim stoliku. - To zgubne dla populacji. - Chodziło jej o obcisłość dzinsów, sposób, w jaki elastyczny materiał przylega do ciała. Wyliczała swoje obiekcje: utrudnia to krążenie krwi, drażni skórę, powoduje infekcje. - I to młode kobiety - dowodziła - w wieku, w którym powinny rodzić.

Pokręciła głową w ten swój komiczny sposób, którego nie znoszę, drobnymi ptasimi ruchami dezaprobaty.

- Może ona wcale nie chce mieć dzieci - powiedziałam i wzruszyłam ramionami.

Nie miałam zamiaru wdawać się z nią w dyskusje, teraz ani nigdy, wytykać jej, że się zawsze troszczy o "populację", a nie po prostu o ludzi. Kiedy byłam mała, starałam się wyobrazić sobie te pokolenia, o których tak często mówiła, te "banki genów dziesiątkowane przez wojny i powstania", milczące szare armie mamy, sunące z

możem przez czas.

- To nie tylko ona, wszystkie to noszą - powiedziała z niedowierzaniem mama, nie pojmując, jak mogę się z nią nie zgadzać.- Chodzi o zdrowie narodu, więc jak możesz coś podobnego mówić.

Zaraz po przyjęciu Partick zaprosił mnie na kolację. Niedaleko stąd jest mała grecka restauracja, Il Paradiso, z gipsowymi kopiami starożytnych rzeźb i winoroślą z jedwabiu rozpięta na jońskich kolumnach. To tam Patrick mi powiedział, że ma dostateczne znajomości w sektorze ochrony środowiska, żeby otworzyć właściwe drzwi w Ottawie. Mogłabym wykorzystać kontakty rodziców w Warszawie, dowodził. Pośredniczyć i tłumaczyć.

- Zarobisz więcej przez rok niż ten duppek, który cię wyrzucił, zarobi przez dziesięć - powiedział ze śmiechem i wypiliśmy za to.

Miał rację. W ciągu trzech miesięcy skompletowaliśmy zespół polskich chemików do produkcji żywic jonowymiennych oczyszczających ścieki przemysłowe. Żywica, tłumaczył Patrick, pochłania jony miedzi, srebra i metali ciężkich, wyzwalaając w ich miejsce jony obojętne. W ciągu niewielu godzin jest w stanie przemienić hektolitry trujących ścieków w nieszkodliwą ciecz.

Jedyny problem stanowiło to, że synteza tych żywic wymaga użycia substancji freonopodobnych, a to naprawdę "śmierdząca sprawa", jak to określił Patrick. Jednym ze sposobów wytwarzania takich reagentów jest produkcja w hermetycznych pomieszczeniach, to jednak byłoby zbyt kosztowne i trudne do zagwarantowania. Innym sposobem byłoby przeniesienie brudnej fazy produkcji na Ukrainę, gdzie przepisy ochrony środowiska są znacznie bardziej liberalne.

- Tam to jest całkowicie legalne - powiedział Patrick, kiedy się zawahałam. - To kwestia wyboru, Yvonne. Co jest bardziej szkodliwe, nieuzdatnione ścieki spuszczone do waszych rzek czy kilka ewentualnych wycieków i emisji setki kilometrów dalej?

Nie chcę tu zanudzać szczegółami handlowymi, ale faktem jest, że otworzywszy fabrykę w Polsce, byliśmy wkrótce w stanie wytwarzać żywicę taniej niż zakłady Dow Chemicals. "Niczego sobie"- entuzjasmował się Patrick z szerokim uśmiechem. Miał

na pieńku z zakładami Dow z dawnych lat, kiedy się dekował przed poborem.

W ciągu roku pozyskaliśmy nabywców w Niemczech i Stanach- zupełnie nieźle jak na początek.

Piliśmy pod ten sukces w klubie Panorama na czterdziestym piętrze hotelu Marriott w Warszawie, skąd nawet Pałac Kultury i Nauki, ten "dar" Stalina dla niegdyś zniewolonego miasta, wyglądał jak nędzna szara zabawka.



Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts

Druga część opowiadania Ewy Stachniak „Spacer nad Credit River” ukaże się we wtorek, 13 sierpnia 2019 r.